

# Józef Kiljański

---

## Minister pogwałcony

---

Przegląd Pruszkowski nr spec., 76-79

---

2014

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych [mazowsze.hist.pl](http://mazowsze.hist.pl).

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

## JÓZEF KILJAŃSKI

### Matura 1948

#### MINISTER POGNĘBIONY

(felieton opublikowany w „Dzwonie Żbikowa” nr 1/2012)

Ostatnie wybory dostarczyły kilku zabawnych przykładów, kiedy to, pewny siebie dygnitarz państwowy zbliżając się łaskawie do ludu, czyli zaszczycając zwykłych obywateli rozmową, oczywiście na użytek swojej kampanii, doznawał tak zwanej konfuzji, czyli został ośmieszony bądź upokorzony. Z tego rodzaju zabawnym przypadkiem zetknąłem się dawno, dawno temu, gdy byłem piękny i młody. A jak było, opowiem. Był rok 1947 lub 1948, w każdym razie, przed maturą. W naszym liceum mieliśmy zajęcia z przysposobienia wojskowego. Prowadził je autentyczny oficer w stopniu podporucznika, którego między sobą nazywaliśmy delikatnie Kometa. Może nie nauczył nas wszystkich wojskowych mądrości, ale takie rzeczy jak: w dwuszeręgu zbiórka, krycie i równanie, w czwórki w prawo zwrot, robiliśmy sprawnie. I oto któregoś dnia nasz porucznik (do dobrego tonu należało tytułowanie jednogwiazdkowego podporucznika – porucznikiem, tak jak podpułkownika – pułkownikiem) zapowiedział, że w święto 1 maja podwarszawskie hufce p.w. będą defilować w Warszawie przed kierownictwem państwowym. Potrzebny nam będzie odpowiedni szlif. Szlif mieliśmy uzyskać w czasie trzydniowej koncentracji. Gdzie? W Warszawie na Łazienkowskiej, gdzie tak jak dzisiaj, miał siedzibę klub sportowy „Legia”, ze wszystkimi swymi sekcjami. Zapowiedź, że będziemy prezentować się przed Bierutem czy Osóbką – Morawskim entuzjazmu nie wzbudziła, gdyż całe gimnazjum i liceum nie kochało przybyłej ex oriente nowej władzy. W Pruszkowie ciągle jeszcze wtedy pobrzmiwały

echa aresztowania na Ostoi szesnastu członków rządu Podziemnego Państwa Polskiego. Przedwojenny dyrektor naszej szkoły, jako wróg klasowy, został odsunięty od nauczania, a ojciec jednego z mych klasowych kolegów, już po „wyzwoleniu”, był wywieziony na białe niedźwiedzie.

Przez pierwsze lata tylko jedna uczennica w szkole Zana należała do ZWM. Oczywiście, taką perłę troskliwie wyłowiono i zadbano, by, zaraz po maturze, wysłać ją na prestiżowe studia do Moskwy.

Ale do rzeczy! Na trzy dni przed 1 maja nasz hufiec pojechał do Warszawy i zakwaterował się na „Legii” (bardzo piękne pomieszczenia pod trybunami) razem z chłopakami z kilku innych podwarszawskich szkół. W sumie zebrało się coś z półtorej setki, może dwustu urwipółciów, którym ta zabawa w wojsko – szczerze mówiąc – raczej się podobała. Dano nam jakieś, nowego, sportowego kroju, mundurki (później chodzili w takich junacy Służby Polsce) i przydzielono dowódcę – zamaszystego i krzykliwego podoficera. Ten w rekordowym czasie nauczył bractwo podstawowych wojskowych zachowań i maszerowania jak na defiladzie z rytmem na lewą nogę i z PRZYBICIEM. Po dwóch dniach byliśmy już jak „stare wojsko”. W tym, dobrze naoliwionym mechanizmie jedynym zgrzytem był pewien przerośnięty chłopak z Ursusa. Wielki, nieformalny i niezgrabny. Gubił krok, utykał i wszystko mu szło nie tak jak trzeba. Tego nieudacznika nazwaliśmy Kulfonem i mieliśmy go w lekkiej pogardzie.

Pierwszomajowe święto minęło przy pięknej pogodzie, bez specjalnych incydentów. Maszerowaliśmy dziarsko i sprężyście przed trybuną, na której zapamiętałem Bieruta – czy to możliwe? – w jasnym garniturku... I nawet Kulfon nie narzekał na obtarte nogi. Kiedy wróciliśmy na „Legię”, przyjechał do nas z Polskiego Radia sprawozdawca, jak pamiętam Wojciech Trojanowski. Nagrywał różne scenki i rozmówki, maszerowaliśmy i śpiewaliśmy – najbardziej podobały mu się dwie piosenki specjalnie dla nas parę godzin wcześniej skomponowane. Jedna zaczęła się od słów:

*Gdy słońce już zachodzić ma i praca kończy się  
na zbiórce trąbka wtedy gra, biegniemy szkolić się*

Refren brzmiał:

*Bo z całej wsi przychodzi tu  
nasz młody hufiec Pe Er Wu  
I ćwiczy się już aż do snu  
nasz hufiec Pe Er Wu*

Prezentacja oddziału musiała nieźle wypaść, bo zapowiedziano, że odwiedzi nas pewna szycha rządowa. Tą szychą okazał się minister rolnictwa Jan Dąb-Kocioł, postać mało znana, agrarysta uwiedziony przez komunistów; oni nie takich uwodzili.

Przyjechał wspaniałą czarną limuzyną, która rwała oczy chromami i lakierem. Rząd zbiedniałej, spustoszonej wojną Polski sprowadził na swe potrzeby trzydzieści takich luksusowych Citroënów, które lud nadwiślański natychmiast nazwał kaśliwie „Demokratkami”.

Mieliśmy demonstrować ministrowi musztrę i śpiew, a potem miał być wspólny obiad. Spotkanie rozpoczęło się od tego, że minister zebrał nas wokół siebie i „nawijał drętwą mowę” – pogadankę, prawdopodobnie zaczerpniętą z osławionego „notatnika agitatora”. Mówił o sprawiedliwości społecznej, o biedzie i ucisku przedwojennej wsi, jej ciemnocie i zacofaniu, z którego sama się nie wydobędzie, bo jak powiedział „nasz chłop umie tylko uprawiać kartofle i żytko” itd., itp. Lekarstwem na to miało być właśnie Przynsposobienie Rolniczo-Wojskowe uczące zawodu i przygotowujące męską młodzież do obrony kraju. Po swojej wypowiedzi zamierzał przeprowadzić indywidualne rozmówki. „Kulfon” najbardziej rzucał się w oczy więc minister zbliżył się do niego i łaskawie zagadnął „Skąd jesteś junaku?” Zapytany, jak i wszyscy pozostali koledzy, znali wieś jedynie z letnich wycieczek za miasto, jednak „Kulfon” rezonu nie stracił i dziarsko zameldował, że spod Ursusa. Minister : „Na pewno

prowadzicie gospodarstwo razem z ojcem? Co uprawiacie?”. A ten nicpoń wali bez zastanowienia: „Ramambar, obywatelu ministrze”. Ryk śmiechu. Minister oniemiał, jakiś grymas bolesny pojawił mu się na twarzy, pojął, że tu robią z niego balona, odwrócił się więc na pięcie, wsiadł do samochodu i odjechał w siną dal.